



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:  
We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.  
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:  
Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.  
Ekspedycya główna w księgarni wydawcy  
Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartal. flor. 3, na prowiny z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.  
W Krakowie: u D.E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowiny z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.  
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

### OSOBISTE WSPOMNIENIE

#### Z ŻYCIA MARYI SOMERVILLE,

przez jej córkę

#### Martę Somerville.

(Personal recollections from life of Mary Somerville, by her daughter, Martha Somerville—London—1874).

(Dalszy ciąg).

W młodych wspomnieniach Maryi Somerville jest wiele zajmujących szczegółów z życia ludowego Szkocji w owym czasie. Jego obrazowość musiała udzielić coś swego kolorytu jej młodym myślom, wspomódz poetyczny pierwiastek, który miała w sobie. Ślad tego jest bardzo widocznym we *Wspomnieniach*. Opisuje jak lud szkocki, kobiety szkockie ze spokojem gorącej wiary czekając śmierci, przysposabiali się do niej pod wszelakim względem. Trumny czekały już żywych zawczasu, zawczasu był przygotowany ostatni strój śmiertelny. Umysł dziecka musiał być uderzony uroczystością tego, skoro rzecz zapamiętawszy, zanotowała. Pisze również o weselach ludowych, o uroczystościach przy urodzinach dziecka, o pewnej wspólności duchowej, w której ludzie czasów owych żyli z sobą mimo różnicy klas. Składała się na to zatracona dziś prostota obyczajów i mogąca się przy niej wyrobić solidarność ludzka. Wiele ze zwyczajów katolickiej przeszłości szkockiej istniało jeszcze, i one to kolorowały swą barwą ciepłą surowy purytanizm. Cały ten ustęp pamiętników bardzo jest ciekawy, to też z żalem prawie trzeba pomijać te szczegóły, któreby szkice ten nadmierne rozszerzyły. Dziwnie wzruszający był między

innymi zwyczaj ogłaszania śmierci, zaszłej w okolicy. Gdy ktoś wydał technienie ostatnie, przeciągano z oznajmianym to dzwonkiem ulice, wołając, że dusza rozstała się z ciałem i uchodzi do nieba. Dlatego ceremonia nazywała się: „Passing-Bell“ Dzwon przechodu. „Oyez! Oyez! Oyez! co znaczy w starszokockim języku: Słuchajcie! Słuchajcie! Słuchajcie!... wołano przed domami i śmierć każda, uderzała uroczystym wrażeniem swoim całą ludność współżyjących z tym, który stawał się duszą zmarłą.

W dziewiątym roku oddano dziewczynkę na pansy w oddaloną od domu miejscowość, zwaną Musselburgh. Była to ciężka próba. Prócz gramatyki angielskiej i francuskiej, przykładała się do niej straszne narzędzie tortury, zwanej w owym czasie sznurówka, mającą w tyle dla gładkości pleców blat z blachy. Aby głowa trzymała się prosto, przymocowywano u brykła stalowego, gniołającego deskę piersiową, jakiś przyrząd też stalowy, będący podporką pod brodę. Na szczęście nie to nie szkodziło zdrowiu dziecka, które uzbierało sobie dość sił życiowych na górskich wrzosowiskach i wybrzeżu odnogi morskiej.

Nauka pensjonarska trwała dwanaście miesięcy i w jedenastym roku Marya wróciła do domu. Zaraz na wstępie spotkała ją ogromna konfuzya. Matka jej była słabą, jakaś znajoma pani napisała list pytający o zdrowie, i na nią włożono obowiązek odpisania, lecz niestety! tak kaligrafia jak kompozycja zawiodła skończoną pensjonarkę i na szczęście przebywająca wtedy z nią siostra cioteczna, a potem siostra mężowska, starsza od niej i uczeńsza, na list odpisała. Pisząc przecież wkrótce potem do brata, który był w szkołach w Edynburgu, zrobiła śmieszna pomyłkę, że złej ortografii wynikła i wyrzucano jej bardzo, że nadaremnie stracono pieniądze na jej edukację. Brat uczył się przez lat wiele, skończył szkoły niższe i uniwersytet, ale to był mężczyzna i na jego naukę idące pieniądze nie były tak ściśle obrachowywane. Ale nauka dziewczyny! Uważano ją za dodatkowy i w gruncie rzeczy mało

użyteczny ornament, to też żałowano na niego grosza. Sądzono jednak, że i kobieta powinna dobrze pisać, czytać i rachować i dla dania Maryi tych wiadomości, matka mieszkała z nią przez zimę w Edynburgu, gdy zaczęła rok trzynasty. Powtórzyło się to kilkakrotnie ze względu na jej edukację także, gdyż chciano jej dać również talenta. Prócz wielkiego talentu i wielkiego zamiłowania do muzyki — grywała z własnej woli jako dorastająca dziewczynka po pięć godzin dziennie — miała również i znakomitą zdolność malarską; tak malowała krajobrazy, że sądzono, iż to stać się może zawodem życia niebogatej panny. Muzyki zaczęło się uczyć w trzynastym roku, w czasie pierwszej bytności w Edynburgu, malowania w piętnastym.

Ale poprzednio jedenastoletnia dziewczynka uczyła się wiele bardzo od starej swej mistrzyni: natury, i właśnie po powrocie z Musselbourga rozpoczęło się tworzenie owych wspomnionych wyżej zbiorów, bo śmielsza już teraz, nie ograniczała swoich wycieczek obrębem ogrodu i posiadłości rodzicielskiej, błędząc nad morzem i po wrzosowiskach, ciesząc się odzyskaną swobodą, „jak dzikie zwierzątko, gdy się wyrwie z klatki“... Lato jednak, dające się te wszystkie rozkosze, nie mogło trwać zawsze i zima znów zapędzała do klatki. Na szczęście odkryła w domu małą biblioteczkę, a w niej Szekspira, który od tej chwili dzieciństwa stał się jej czytaniem wysoce lubionym. Jak go mogła rozumieć w jedenastym roku? To już jest — podług wyrażenia Zmiechowskiej — tajemnica między jej dnem a Bogiem.

Tajemnica genialnej natury nie w tem jednym się kryła. Na ten to czas przypadają wieczorne lekcje rachunków, od nauczyciela elementarnej szkółki pobierane, przy których znalazła się przypadkiem astronomia i obserwatorium urządzone w alkierzyku. Były to przecież zajęcia kryjące się cichutko, nieuznawane bynajmniej za pracę jakąś. Pracę reprezentowała teraz igła. Nauka znaczenia krzyżową robotą rozpoczęła ten dział wiadomości i dodać tu trzeba, że Ma-

rya okazała się „zdolną do igły“ jak przyznaje sobie sama. Kazano jej najpierw wyznaczyć cały alfabet i cały szereg liczb do dziesięciu, tak całym ściegiem, jak półkrzyżkami i powtarzać to aż do doskonałości. Jednostajna robota nudziła ją ogromnie i matka byłaby łagodniej patrzyła przez szpary na brak zamięłowania do krzyżyków, gdyby nie było obok ciotki, starej panny. „Ciotka Joanna była przyjemna, dowcipna, ale miała uprzedzenia swego wieku, co do obowiązków kobiety“ pisze Marya we wspomnieniach. Upominała matkę, że pozwala córce chować się „jak mężczyzna“, więc matka zaczęła posyłać upartą sawantkę do miejskiej szkoły robót ręcznych, głównie szycia i tu okazała się „zdolność do igły“. Chodziła do niej nie pamięta jak długo, aż jakaś mylady z okolicy przysłała holenderską webę, aby z niej poszyto koszule dla jej brata, żądając przecież, aby szyła je wyłącznie miss Fairfax. Musiała to być zapewne jakaś przyjaciółka matki i koszule zostały uszyte w tak uderzająco piękny sposób, że to położyła kres nauce. Przestała chodzić do szkoły, ale oddano jej do trzymania całą bieliznę domu i rodziny, z obowiązkiem sporządzania jej. Było tego bardzo wiele i widocznie Marya Somerville odziedziczyła wspomnianą przez nią w tem miejscu zamięłowanie pań szkockich do pięknej bielizny. Pisze dumnie, że w tych czasach już nie posyłało płótna szkockiego do bielienia w Holandyi. To tylko było zmartwieniem jej w tej epoce, że tak bardzo ganiono jej zamięłowanie do książki. „Myślałam sobie, że jestto chyba niesprawiedliwością (injustice), aby kobieta dostawała od Boga chęć wiedzy, skoro nabywanie jej było złem“; pisze przypominając sobie te czasy. Dopuszczała się jednak biedaczka „złego“. Składając rzecz na Pana Boga, zabrała się cichaczem do nauki. W bibliotece domowej znalazła dziełko edukacyjne: — *Letters to Young Women* (Listy do młodych kobiet) i postanowiła przechodzić kurs nauk, jaki tam wskazanym znalazła, co jej przyszło tem łatwiej, że większość książek wykazanych przez autora Listów, znajdowała się w bibliotece miejscowej. Kto ją zbierał, nie wiedziała, a zbieracz ten czyż przeczuwał komu i na jaki użytek zbiór jego służyć będzie? Kto tworzy bibliotekę, jest jak człowiek sądzący drzewo: czyż wie kto pod jego cieniem odpocznie, świeżością i wonią jego odetchnie, owocem jego się pokrzepi? Jest błogosławieństwo biblijne dla dobroczynnej ręki sadownika, ja bym dodać do niego chciała drugie: — Niech Bóg to przyjmie za cnotę dobroczynności każdemu, kto przygotowuje narzędzie światła i pokrzepienia duchowego dla bliźnich swoich — kto utworzy dobry zbiór książek.

W bibliotece brakowało niektórych książek, które autor *Listów* wskazywał przy nauce historii, ale wytrwała dziewczynka umiała tak sobie radzić, jak radzić zawsze umie pragnienie prawdziwe. Jedynastoletnia samouczka postarała się o brakujące jej dziełka, pożyczyla je od swoich kuzynek Somerville, ale na nieszczęście najpotrzebniejsza z owych książek dostała jej się po francuzku, a ona umiała tylko w tym języku tyle, co mogła dać dziewięcioletniej roczna nauka pensjonarska. Ale od czego dobra wola! Miała gramatykę i słownik, miała więc klucz do zamkniętego gmachu i dostała się do niego. Aby uczyć się historii, nauczyła się po francuzku i oto znaleziony sposób usuwania sobie przeszkód z drogi: tylko wiaść górę i przenieść!.. Góra naturalnie nie da się zabrać na barki, które nie należą do olbrzyma, ale można ją przenieść biorąc ziemię garstka po garstce. Tak postępowała Marya; podobnie jak po francuzku nauczyła się w dwa lata potem, jak już wiemy, po łacinie; w 15 roku tak nauczyła się po grecku, tak nauczyła się rysować. Po grecku, mogła czytać Xenofonta i pierwszą część Herodota; rysunek doprowadziła do tego stopnia przez kopiowanie wzorów, że potem mogła od razu przystąpić do nauki malowania. Aby nie mieć przerwy w muzyce, której oddawała się z zapalem, bo zawsze grywała po kilka godzin dziennie, nauczyła się w Edyburgu stroić fortepian i naciągać struny, „Musiałam dojść do tego — pisze ze spokojną prostotą — gdyż w Burntisland nie było stroiciela“. — Musiała również dojść do nauki algebry, bo miała w duszy coraz już jasniej rysujące się pragnienie, że kobieta może się wszystkiego uczyć“ coraz silniejsze wiedzy pragnienie. Tym razem przecież na zacerpnięcie jednej

ropelki pożądanej wiedzy trzeba jej było zużyć nie mało cierpliwość, zrobić koło ogromne i kroczyć po nim wytrwale, choć cichutko jak myszka. Dziwnym zrzadzeniem pierwsze natchnienie do głównych już studyów jej życia przyszło jej — z żurnala mód!.. Książki! książki! było głos wołający nieustannie w jej piersi i jakakolwiek, o czemkolwiek traktująca była jej zawsze pożądaną, w każdej znalazła sobie coś, co jej się przydało, nie dziś, to jutro, jak zapas dobry, z którego użytek jest zawsze pewnym. Życie jej było po trochu jak wolne tłumaczenie niekoniecznie wyborowego dzieła. Los je przyniósł i włożył w rękę, tłumacz nie mający wyboru przyjmuje co musi, ale nie zadawalnia się tem co dostał: przerabia, przemienia i z materyalu gotowego to tylko bierze, co jest koniecznością, zresztą tworzy dziełko oryginalne. Zrobiła coś podobnego z tygodnikiem mód, pożyczonym jej przez jedną ze znajomych pań — przełożyła go sobie na pierwszą wiadomość o algebrze. Miała rok piętnasty, bywała już trochę z matką u znajomych pań w Burntisland i tam dostała ów tygodnik, na którego ostatniej stronie, zapewne między ogłoszeniami księgarskimi, spotkała się z czemś, czego zrozumieć nie mogła. „Zdawałomi się z początku, że to jest jakieś zagadnienie arytmetyczne, ale na drugiej stronie zobaczyłam z podziwieniem jakieś linie i gloski zmieszane z sobą. Co to jest! co znaczą te X i to Y? zapytałam miss Olgivie. Jest to rodzaj rachunków, zowiący się algebrą — odparła — ale nie wiem już nic więcej nad to... Zaczęłyśmy mówić o czem innym, ja przecież myślałam, że za powrotem do domu, znajduję w jakiej książce wytłumaczenie, co właściwie znaczy algebra?...“ Ale nadzieja zawiodła Przerzuciła biedaczka Robertsona „Navigation“ lecz nie było tam nic o algebrze, za to uparcie wycytując się w książkę wyciągnęła z niej sobie „zamglony pogląd na wiele przedmiotów, o których wiadomość stała się potem bardzo użyteczną“. Ale nigdzie ani wzmianki o tem, czego szukała, w jej zaś otoczeniu nikt objaśnić jej nie mógł, a gdyby mógł nawet, ona nie byłaby się odważyła zapytać. — „Wyśmianoby mnie — pisze — czułam się w tym czasie często smutną i przygnębioną, nie było przy mnie żadnej dłoni pomocnej.“

Nie zapytała zatem, ale i nie zapomniała, odłożyła tylko rzecz do czasu. Jest herb, niepamiętam już czyj, z dewizą: Czekam pory!.. Otóż to była dewiza młodocianego życia Maryi: czekała aż przyjdzie godzina szczęśliwa, a tymczasem nie marnując chwili obecnej, chwytala sobie, co się dało. Brat jej matki, William Charter, który obdarował jej życie wielką rozkoszą, bo wróciwszy z Jndyi kupił jej fortepian i dał tym sposobem możność uczenia się muzyki, osiedlił się teraz w Burntisland na lato, a żona jego miała przy sobie kuzynkę, miss Melville, która małowała i patrząc na jej robotę odkryła Marya pierwsze tajniki sztuki i wtedy to wzięła się do ołówka, który chwilowo zastąpił algebrę. I w tym kierunku, odkryła się wielka zdolność, matka też przeniosła się znów na zimę do Edyburga i posyłała córkę do szkoły malowania dla kobiet, którą kierował inteligentny malarz krajobrazów, Nasmyth. „Matka moja — pisze — uczyniła to chętnie, widząc, że malowanie zaczyna wchodzić w edukacyę pań klas wyższych“. Lękała się tylko zwichniać losu córki, wychowując ją „po mężku“ w czem podburzali ją wszyscy do koła i Marya pisze, że nie była wcale kochaną w rodzinie. Wuj i ciotka Charter stawiali jej ciągle za przykład inne młode panny, osobistości bardzo pospolite, a pewną potrzebę chwilowej samotności, wolnego czasu, który poświęcała książce, tłumaczono w niej sobie jako objaw ponurego, skrytego charakteru, zimnego serca. Tylko uczoney Dr. Somerville rozumiał ją i wspierał nawet, a ciotka Somerville kochając czule, pobłażliwą dla niej być musiała. Ale siostry cioteczne, potem siostry męża, uważały ją zapewne za dziwaczkę i pedantkę, do szczęśliwego pozycia w rodzinie nie sposobną, bo w chwili małżeństwa z bratem dały jej to uczuć boleśnie.

Przy sztalugach malarskich spotykała się niespodziewanie z algebrą. Nauczyciel, mówiąc do jednej ze swych uczennic, lady Douglas, o prawach perspektywy, rzekł: — Powinnyście panie uczyć się Euklidesa *Zasad Geometrii*, gdzie znajdują się podstawy nie tylko do nauki perspektywy ale wszystkich nauk mechanicznych... Marya słysząc

to drgnęła uczuciem radości; tam zatem mogła się dowiedzieć o algebrze, tam mogła znaleźć wyjaśnienie tego wszystkiego, co w Robertsonie było dla niej ciemnym. Ale jak pójść do księgarni i zażądać Euklidesa? Nie poszła, nie żądała Euklidesa, ale i nie zapomniała — czekała pory, a nabytkiem chwili było już to, że widziała gdzie się kryje klucz tajemniczej mądrości, którą, jak powiedziała sobie, kiedyś posiadać musi.

Więc uczyła się dalej grać, malować, uczyła się tańczyć i tańczyła już na zebraniach; bywała bardzo często w teatrze, poznając kolejno w wystawie scenicznej arcydzieła Szekspira. Mimo bardzo silnych uprzedzeń purytańskich do teatru, matka jej choć bardzo nabożna, miała dość jasne sztuki pojęcie, aby nie bronić córce szlachetnej rozrywki, którą polubiła namiętnie. Sama nie bywała z nią, lecz dla tego tylko „że mąż był na morzu“ córkę przecież posyłała pod opieką krewnych i przyjaciół, ciesząc się bardzo artystycznymi jej postęпами, które zaczęły już nabierać pewnego rozgłosu. „Była bardzo zadowolniona z mej muzyki i malowania“ pisze sześćastoletnia podówczas Marya, lecz poważna matrona myślała już przytem dla rozkwitającego dziewczęcia o przyszłych obowiązkach kobiety w rodzinie. — „Matka moja uważała, że pewna strona dobrobytu życia małżeńskiego polega na dobrym stole i dla tego zaczęła mnie posyłać codziennie na jakąś chwilę do paszтетnika, abym się nauczyła sztuki gotowania. Towarzyszką moją do tego była miss Moncreiff, córka lorda Henryka Moncreiff Wellwood, szkockiego baroneta, bardzo starożytnego rodu — pisze Marya i wesoło wspomina o ciastkach i kremach, które robiła wespół z miss Moncreiff „miłą, dowcipną, pięknością wreszcie okrzyczaną“. Dobrze to były niewątpliwie czasy prostych, poczciwych obyczajów, kiedy córki lordów i okrzyczane piękności uczyły się gotować z poważną myślą przyszłych obowiązków matki rodziny, a owa „sztuka gotowania“ nie zaszkoździła jak mamy do wód i tej innej, której myśl sięgała wyżej nad nadzieję okrzyczanej piękności i widoki bogatej dziedzinki. Tkwiło w tem — powtarzam — surowe pojęcie obowiązku, a wtedy najskromniejsze stosowanie naszych powinności nie poniża nas, nie podcina lotów naszej myśli. Tak to rozumiała ta uczona, ta rozumna kobieta, której życie przegladamy. Od najmłodsze go dzieciństwa czując w sobie głos, który wołał dla kobiety o prawo do światła i pracy takiej, która by była światła tego zużytkowaniem, nie czuje się przecież upokorzona przez żadne domowe dla potrzeb rodziny zajęcia. Przeciwnie, czuć w niej pewien wesoły triumf nad małodusznością kobietami, które ją otaczały, ilekroć udało jej się czynnie dowieść, że ów wielki niby ciężar gospodarności, które one stękając nieraz dźwigają, ona wybornie i wcale lekko wespół ze swoją uczonością nieść umie. Zamieszcza też kilka wesołych anegdot w tym rodzaju i potem już sławna, czciami otoczona, żyjąca w najwyższych sferach, lubi robić użytek ze swych gospodarczych wiadomości. Córka marynarza, rozmówiona wreszcie w naukach przyrodzonych, bardzo żywo interesowała się wyprawami do bieguna i wchodziła w stosunek z bohaterkami ich przedstawicielami. Edward Parry, zajmujący między nimi znakomite miejsce, nazwał od jej nazwiska jedną z wysp dalekiej północy, a ona podaje ciekawą tego przyczynę. Zaopatrzyła spiżarnię okrętu w marmoladę pomarańczową własnego wyrobu! Kto wie czem w dalekich podróżach morskich jest dla zdrowia załogi pokarm roślinny, konserwy owocowe, nie rozśmiesze się z tego, ale zawsze jest pewna przyjemna prostota w tym postępku sławnej kobiety, która pisze: „Zużytkowałam praktycznie moją naukę gotowania, i zrobiłam znaczną ilość marmolady pomarańczowej do zapasów podróży.“

Dla uzupełnienia tych rysów jej charakteru, dodać trzeba, że staranna matka kazała się jeszcze przyszłej wielkiej kobiecie uczyć krawieczyzny, czego również nie odrzuciła wzgardliwie w późniejszym biegu życia. Przechodziła różne zmiany losu, straty majątkowe i córka pisze o niej, że robiła sobie sama suknie „nawet na bale.“ Lubiła się szczególnie ubierać biało, w gładką, co najwięcej koronką przybraną suknię. Córka pisząc o tem dodaje: „Wydając bardzo niewiele pieniędzy, była zawsze ładnie i starannie ubrana i nigdy nie zaniedbała się pod tym względem.“ Dołożyć trzeba, że Marya Somer-

ville była bardzo piękną i piękność swą zachowała nad podziw długo, ślady zaś trwały do końca życia. Żałowała trochę — jak córka pisze — że nie było jej portretu z lat młodych, i córka usiłuje kreślić go słowami: „Wszyscy, którzy znali dawniej moją matkę, mówią o jej rzadkiej i delikatnej piękności tak twarzy, jak całej postaci i nawet to, że wyglądała zawsze wiele młodziej. Jak było rzeczywiście, trzeba przypisać cerze bardzo świeżej i temu, że była drobnych kształtów. Przyczyniała się do tego niewątpliwie przedłużona młodość i świeżość tak umysłu jak serca, które nigdy nie zgrzybiało. Figurę miała zrezną, wzrost nieco więcej niż niski, głowę małą, dobrze osadzoną, szyję i ramiona bardzo piękne, prześliczną pleć, jasne, rozumne oczy siwe i wielką obfitość miękkich, ciemnorudych włosów.“

Gdzieindziej pisze mówiąc o jej latach panieńskich: — „Nazywano ją „Różą Jedwoodu,“ lubiła tańczyć i tańczyła wiele, miała zawsze gotowych tancerzy.“ Sama Marya zapisała sobie we *Wspomnieniach*, że pierwszym jej tancerzem był hrabia Minto, wówczas Gilbert Elliot. Na pierwszym zaś balu była pod opieką lady Buchan w białej muslinowej sukni, z różą we włosach.

(Dokoliczenie nastąpi).

## NIEWIASTA POLSKA W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA (1800—1830 ROKU)

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg).

Smutek.—Gertruda w Podlesiu. — Zima.—Powrót Pawła. — Kapitan Rzewuski. — Rozmowa matki z synem. — Wigilia Bożego Narodzenia. — Zareczyny.—Śmierć kapitana Rzewuskiego.

Pani Niemirowa po dwakroć odczytawszy list cały, uspokojona nieco wzięła swój różaniec i wyszła do szpaleru lipowego w ogrodzie, ażeby gorące modły wnieść do Boga za pomyślność jedynego dziecięcia. Zmęczona przechadzką usiadła na ulubionej ławce i w głębokim a smutnym zamyśleniu, nie słyszała gdy Gertruda szybkim krokiem nadbiegła i ukłękła przy jej nogach.

— Matko droga! przyjmij mnie za córkę swoją, mówiła błagalnym głosem, patrząc z trwogą w oczy wybladłej matrony: ty mnie nie odrzucisz, ja wiem wszystko!...

I pokażała list Pawła, trzymając go silnie w ręku.

— Teraz ja czuję się szczęśliwą, bo mogę ci powiedzieć, że go kocham nad wszystko na świecie i on może mi szczęście dać tylko!

Pani Niemirowa spojrzała łagodnie na pochyłoną u stóp swoich i wyrzekła poważnym głosem:

— Przed godziną, w tem samym miejscu wymówiłaś bluźniercze słowa, posadzając mego Pawła o nikczemność. On ci dał wymowne zaprzeczenie.

— Bóg nas ukarał, a ja padnę ofiarą, bo nie przeżyję jego straty!...

— Cóż mnie po życiu! zawołała Gertruda, zalamując z rozpaczą ręce, jeżeli on zginie! Gdzież ratunek, gdzie pomoc? Cały majątek oddam, aby go wrócić na twoje łono!

— Majątek twój, odpowiedziała matka uroczystym głosem, na nie się tu nie przyda, a ratunek nasz, słabych istot tylko w ręku Boga i modlitwie.

Wojewodzina złożyła ręce jak do pacierza i z trwogą pytała:

— Więc mnie odpychasz i nie przyjmujesz za swoją córkę? Ja ci będę służyła wiernie i pokornie, bo ja cię tak kocham!

Pani Niemirowa patrzyła uważnie na twarz młodej kobiety, serce jej skamieniało boleścią, na tę rzewną prośbą uderzyło silnie, wyciągnęła drżące ręce i pomarszczone, a tuląc ją w swoich objęciach wyrzekła:

— Dobrze! od tej chwili jesteś moją córką!

— Nazajutrz po długiej naradzie z wojewodzina,

wyjechała do swego *Podlesia*, a w dni kilka pośpieszyła za nią i Gertruda, zostawiając *Różankę* pod opieką Podstoliny i Rzewuskiego.

W skromnym dworku Niemirów, smutek i cisza panowały ciągle.

Domownicy widywali często to na ganku siedzące, to po ogrodzie w przechadzce dwie niewiasty, skromnie przybrane, nieraz żywą zajęte rozmową, to osmutniałe i milczące przesuające się jak cienie. Jedną z nich była pochyłona laty sędziwą wdowa, drugą młoda Gertruda.

Na początku października, pierwszy list Pawła otrzymano w *Podlesiu*, w którym donosił o posuwaniu się naprzód wielkiej armii Napoleona I, ale był to i ostatni, za to smutne wieści nadbiegały co chwila do tej ustroni.

Na początku października otrzymano wiadomość o strasznej klęsce armii francuskiej przy przejściu przez *Berezynę*, rozbicie jej do szczeru i opuszczenie przez samego cesarza Napoleona.

Był to miesiąc śnieżysty i mroźny; ganek dworski już oddawna opustoszał, ogień tylko kominkowy jasnym płomieniem pierwszą izbę od świtu do późnej nocy oświecał. W niej najczęściej przesiadywały obiedwie kobiety. — Są chwile w życiu przecucia jakiegoś wypadku, zdarzenia, wstrząsające całą istotą człowieka. Tego dnia, jakby jedną myślą wiedzione modliły się gorąco do północy i kukulka na zegarze wydzwoniła dwunastą, gdy poszły na spoczynek.

W nocy zerwał się straszna wichura ze śnieżną zamiecią, a po nim mróz siarczysty. Siedziały właśnie przy stole, gdy nagle i niespodzianie usłyszały ruch niezwykły na ganku. Stary Jakób, wierny sługa, wszedł żwawo i zawołał radośnie:

— Nasz panicz przyjechał!

Matka i Gertruda wybiegły razem i z przestraszeniem ujrzały w kożuchu niesionego przez domowników omdlałego Niemirę. Przy nim postępował roslęgo wzrostu wojak, w wysokiej czapce chłopca litewskiego, w łapciach lipowych obwinionych brudnymi płachtami; wąsy i broda lodem mu obmarzły. Wołał on ochryplym głosem...

— Żyje! żyje! nasz kochany Paweł! Dzięki Bogu przywiozłem go przecież! Ale, drogie panie, ratunku! Nie wnosić go odrazu w ciepłą izbę, bo skona!

— Gertrudo! wyrzekła matka, śpiesz ziółka bzo-we przygotować, a ja tu się zajmę Pawłem. Z kimże mam szczęście mówić i podziękować, zapytała wojaka.

— Rzewuski kapitan. Pani dobrodziejki, z batalionu jej syna a naszego pułkownika. Pani Niemirowa, przeznaczyła mu jeden z pokojów gościnnych, do drugiego obok przeniesiono Pawła i złożono na gotowiec już łożo. Sprowadzony doktor z pobliskiego miasteczka, opatrzył rozwierające się rany: uspokoił strwożone niewiasty, zalecił spokój, przyrzekając, że nazajutrz przybędzie.

Niemira, gdy przyszedł do przytomności, bolesnym jękiem objawił swe odczucie na które drgnęła matka i Gertruda trzymająca ziółka przy jego łożu.

Silna gorączka z majaczeniem, całą noc go trzymała, ale po zażyciu przepisane lekarstwa, nade dniem twardym snem spoczął.

Kapitan Rzewuski, orzeźwiony gościnem przyjęciem i wygodnym noclegiem, przy śniadaniu, starał się rozweselić uprzejme swoje gosposie. Opowiadał im straszne przejście przez *Berezynę*, rozprężenie całej armii, jak i cudowne prawie ocalenie, że wśród ogólnego popłochu, przedostać się do kraju zdołali.

— Czy pan kapitan nie masz brata? zapytała Gertruda.

— Mam starszego o lat wiele, Jana, bom najmłodszy z rodzeństwa, był on dawniej dworzaninem u pana Wojewody.

— Był on więcej jak dworzaninem, bo przyjacielem mego nieboszczyka męża, odrzekła, teraz jest moim i rządzi całym majątkiem. Przyjmij pan kapitan serdecznie podziękowanie, za ocalenie pułkownika, a ja szczęśliwą jestem, że w moim domu znajdziesz pan gościnny przytułek.

Rzewuski na te słowa porwał się od stołu, stanął wyprężony jak we *froncie*, a salutując ręką do czoła mówił pomieszany...

— Przepraszam panią Wojewodzina, żem jej odrazu nie poznał. Mój pułkownik tyle mi o pani na-

opowiadał, że gdybym nie zamroził sobie oczu, chociaż w tym skromnym ubiorze byłbym poznał...

Poczem zbliżywszy się do niej, mówił z cicha:

— Droga pani! trzeba zwolna pułkownika przygotować do widzenia pani wojewodziny, bo lekam się gwałtownego wzruszenia... Jego myślą jedyną była matka i pani. Kiedy padał w objęcia moje ranny, zawołał: „Matko moja! Gertruda moja! ratujcie“. Ale przepraszam za moją żołnierską otwartość... nie gniewają się panie?...

Matka, objęła pochyłoną głowę wojaka z rozczuleniem całując, a Gertruda rozpromieniona uściśnięta serdecznie, chropawą dłoń jego.

W południe przebudził się chory. Z jaką radością ujrzał uśmiechnięte oblicze swej matki i rozpoznał że już jest w domu rodzicielskim.

— To Piotr, Piotr mnie uratował od pewnej śmierci, słabym głosem przemówił, to przyjaciel wierny jak szabla! A... A?...

— Chciałeś się zapytać o Gertrudę? dodała matka.

Paweł kiwnął głową.

— Zdrowa—wspomina cię zawsze przyjaźnie...

— Czy idzie za mąż? głośniejszy zapytał. Słyszalem coś o tem.

— Od czasu twego wyjazdu, byłam z nią razem, i teraz (patrzac uważnie na blade oblicze syna) od trzech miesięcy mieszka razem ze mną, jak dobra córka pociesza strapioną matkę, bo to anioł nie kobieta.

Rumieniec słaby wybił na blade lica Pawła: odechnął całą pierś swobodnie; zamknął oczy, z których łzy radości trysnęły. Matka się pochyliła, a całując go w rozpalone czoło, zapytała pieśczośliwie...

— Moje dziecko — Gertruda chce cię widzieć... Paweł złożył ręce jak do modlitwy i po krótkim namyśle wyrzekł:

— Nie teraz... za chwilę — muszę zebrać zmysły i oprzytomnieć z radości.

Ujął rękę matki, całował, przytulał do serca, a potem mówił rozrzuwiony:

— Twoim to świętym modłom zawdzięczam życie i przyszłe szczęście! Niech przyjdzie wojewodzina, odżyję kiedy ją zobaczę...

Gertruda, która w pobliżu słuchała całej rozmowy, zbliżyła się sama.

Oczy Niemiry zapalały ogniem radości, wyciągnął obie ręce i chwytając jej dłoń drobną, przycisnął do ust, gorącemi pocałunkami okrywając, a potem patrzył na zarumienioną, piękną i uroczą wojewodzina, nie wymówiwszy ani słowa o swej miłości.

Od tej chwili szybko wracał do zdrowia, doktor na czwarty dzień przybyły, oświadczył, że jego pomoc już niepotrzebna; jakoż chory powoli zaczął się dźwigać z łoża.

Kapitan Rzewuski wyjechał do *Różanki* z listem wojewodziny; przybycie jego napełniło radością dwór cały.

Zbliżyła się święta Bożego Narodzenia i *Wigilia*: Gertruda ubłagała matkę, żeby opiekując się synem, jej pozwoleła wyłącznie zająć się gospodarstwem w *Wigilię*.

Fury ładowne z kucharzem i służbą z *Różanki* przybyły wcześniej; o południu w samą *Wigilię*, nadjechała podstolina z braćmi Rzewuskimi.

Kiedy zajaśniała gwiazdka na niebie, przybył Ksiądz proboszcz z organistą i czterema *zakami*, a odśpiewawszy w sieni starożytną *kolendę*:

„W żalobie leży,

Któż pobieży

Kolendować Małemu

Jezusowi

Chrystusowi

Dziś nam narodzonemu!“

za otwarciem podwoi wszedł z opłatkami, winszując dnia tak uroczystego w całym świecie chrześcijańskim.

Kiedy siwy kapitan zajął przy stole pierwsze miejsce i całe grono spożyło wiece: sędziwy Rzewuski ośmielony przez brata kapitana, powstał, a nalawszy winem srebrny puhar, zbliżył się do Gertrudy i ukłękawszy przed nią, do głębi serca wzruszony przemówił.

— Pani wojewodzino! moja droga pani dobrodziejko! Wiesz jakim byłem dobrym sługą i wier-

nym przyjacielem świętej pamięci pana Wojewody! Otóż błagam cię, ażebyś dar ten ubogi od swego słuźki przyjął. Jestto pierścień do zaręczyn dzisiejszych z panem pułkownikiem, na który to obrzęd przygotowałem księdza proboszcza.

Gertruda podziękowała uprzejmie starymu przyjacielowi za dar tak miły. Piotr kapitan mrugał oczyma i węża pokrecał, co było oznaką najwyższego rozrzewnienia. Matka spojrziała na syna, który zbladły siedział nieruchomie. Podstolina zbliżyła się do niego i podała rękę, widząc go przed Gertrudą, z drugiej strony wsparła go matka. Proboszcz dopełnił obrzędu.

Wesele odłożono do zapust 1813 r. Wśród powszechnego smutku i przerażenia, odbyło się ono cicho i skromnie w gronie tychże samych tylko osób w *Podlesiu*. W końcu lutego, gdy już cieplejszy czas nieco nastał, wszyscy wybrali się do *Różanki* na stałe osiedliny.

Pan Piotr Rzewuski ruszył w świat na nowo do swego pułku bocznymi drożynami, wioząc prośbę Niemiry o uwolnienie, bo zniechęty trudów obozowych nie potrafił. Dymissya wkrótce mu też z *ranga* pułkownika nadesłaną została.

W bitwie zwanej w historii „walką olbrzymów“ pod Lipskiem tegoż roku, wojsko sprzymierzonych odniósłszy stanowcze zwycięstwo nad Napoleonem I, zmusiło go do odwrotu.—Kapitan Rzewuski poległ.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## SOFONISBA

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH

Emanuela Geibla

przełożył z niemieckiego

Józef Grajner.

(Dalszy ciąg).

### Scena 4.

(Obóz Numidów z dalekim widokiem na góry Atlasu. Na lewo, namiot Sofonisby; na prawo, nieco głębiej arkady zburzonego wodociągu, do połowy swej wysokości zarosnięte zielskiem).

Batu.—Sofonisba.—W głębi numidyjscy wojownicy.

BATU

Rącz wyjść z namiotu, królowo. Przed nami Walka, którejś tak czekała z tęsknicą. Za chwilę książę przyjdzie z przywódcami, By na koni własną podnieść cię prawicą.

SOFONISBA

Szczęсна nowina! A zastępy zbrojne Również gotowe?

BATU

Spojrzyj tam przed siebie! Już ku wojennej sprawionej potrzebie, Konnica, włócznie swe na kłębach koni Oparła, a tam, wielbłądy za niemi, I muły stoją z juki orężnymi. Wybuch rozkazu tylko wodza czeka.

SOFONISBA

Cóż go tam trzyma? Oby już zdaleka Być od zaduchu, co z obozowiska Ulic tych płynię! Strasznie jakoś wieje Rzymską zimnicą wiatr, i pierś mi ścisła, A pod stopami lawą mi goreje Ziemia.

BATU

Ufności! Patrz, książę nadchodzi.

### Scena 5.

Ciż sami.—Massynissa.—Atarbas.—Adherbal.—Sarkas.—Menalkar i inni numidyjscy przywódcy.

MASSYNISSA

Ot, i wśród ciszy piorun we mnie godzi! Plan nasz odrzucił?

ATARBAS

Dał odprawę jasną, Przeworny strażnik nie chce dłonią własną Otwierać klatki dla pantery płodu, Który ugłaskał. Wzbrania nam pochodu, Coby ci pozór dał w skrytym zamiarze Ztąd uprowadzić mu naród twój zbrojny,— Lecz cicho siedzieć w obozie ci każe.

MASSYNISSA

Och, ten Scypio!

SARKAS

Jakż więc plan wojny? Wyrokuj! Zwłoka w końcu zrodzi trwogę.

ADHERBAL

A ślepy pośpiech—większą. Przyjm przestrożę. Na powódź, z piasku nie robi się tamy. Dzisiaj dość na tem, że czas pozyskamy Na rozmyśl. Chcieć się z przemocą borukać, To znaczy płocho śmierci pewnej szukać. Jeśli w otwartym polu wróg napadnie, To nas legiony rzymskie zgniotą snadnie. Więc najwygodniej—czekać—

MASSYNISSA

Mogę-ż jeszcze? Z śmiałym zamysłem zaszedliśmy daleko. Dziś on dopiero przecucia ma wieszce, Lecz te za chwilę w pewność się obleką,— Wie wojsko, o co idzie; któż rozkaże Tysiącom milczeć o tajnym zamiarze! Nie, co ma stać się, niech się zaraz dzieje. Toż spojrzcie w niebo! Sam Bóg tam nadzieję Dla nas zwiastuje. Patrzenie, zachód w koło Znad gór Atlasu w chmury słońce czoło, Słońce się nurza we krwi oceanie, Wieszcząc nam, że noc burzliwa nastanie. To nam na rękę! Więc niech się tu żarzą Ognie spokojnie, a obozu wały Obsadzim zwykłą dookoła strażą, Jej rogi będą nocne hasła grały, A jej wołanie ucho wrogów zwiedzie,— Wtenczas my, nocą, tyłami obozu Wywiedziem wojsko cicho, w głąb' wąwozu, I z ranną jutrznią, gdy nam się powiedzie, Staniemy w Cyrcie.

ADHERBAL

Lecz miej to na względzie: Gdy błyskawica wrogom nas pokaże, Gdy z nami konne gdzie zetkną się strażę, Gdy rzenie koni nas zdradzi—cóż będzie?

ATARBAS

Adherbal rzekł: iż w tej zuchwałej sprawie Tak snadno chybić. Dziś i mnie żal prawie, Żem podał ucho twemu naleganiu. Zaprawdę, stawka zawiłka w tem graniu, Zysk mały. Cóż nam z Kartaginą owa? Wygramy,—to nam będzie myta skąpic, Przegramy,—śmiercią skarże nas krzyżową? Wszak to wojenny zwyczaj.—

MASSYNISSA

Nieszczęsny! Chcesz ustąpić?

ATARBAS

Nigdy, masz dla swojej sprawy Me słowo. Tylko, z obawy—

SOFONISBA (nagle pomiędzy nich wchodząc)

Z obawy?!

I czyż w twych żyłach krew Numidów płynie? Czyś ty jest synem pustyni? lub jedynie Tylko świat zwierząt lwy tam rodzić w mocy? Nie, twa kolebka z bieguna północy,— Trwożnej Scytyjki piersi cię karmiły, Z duszą twą iskry słońca się nie zżyły, A że libijską twarz się twoja zdawa, To tak,—igraszka natury!—Obawa! O! waszych ojców przywabiało brzmienie Niebezpieczeństwa, jak konia trąbienie, W niem była słodka win palmowych czasza. Gonili za niem, jak, mówi baśń wasza, Brunatny pasterz gonił za królowną! A wy—o hańbo!—wy stopą niepewną, Drząc, uchodźcie od fałd jej osłony, Gdzie wasza stałość! Was rozpaczy dzieje Męztwa nie ucza. Wszak w koło was ziele Otechłań rozpacza,—los swój w rękę macie. Gdy jeszcze w noc tę pochód swój wstrzymacie, To jutro, zanim mrok wieczoru padnie, We własne sieci złapiecie się snadnie. Pójdziecie potem żebrać życia! Srogi Wróg was zachowa, by Afryki bogi Przy was druzgotał, by Numidów chwałę, To miasto starych królów wiecznotrwałę, W oczach wam spalił.—Gdy znosić to chcecie, To się ucieszcicie! Żołd swój tam znajdziecie! Ja nim pogardzam—

SARKAS

Czy was ma, druhowie, Wstydzic niewiasta? Jest słusność w jej mowie, Tu męztwem mądrość.

MENALKAR

W tył nas już nie wiedzie Najmniejsza ścieżka, stanmy więc na przedzie!

ATARBAS

Zgoda! Nie powie nikt, że cofnął kroku Atarbas, gdzie mu chorągiew uroku Tyle zwiastuje—

SARKAS

Wiedź nas! Królowo, w swe ślady

WSZYSCY

Tak, wiedź nas! dla wrogów zagłady.

SOFONISBA

Dalej więc! Śpieszcie do hufców, rozżarcie Ognie w obozie, i konnicy każcie Wsiąść na koni!

BATU (odchodząc)

Wypadniem, skoro się zciemni. (Słychać głośny sygnał rogu).

MASSYNISSA

Co to jest? Słyszycie!

### Scena 6.

Ci sami.—Kapitan, zaraz potem Scypio.

KAPITAN (wpadając)

Scypio!

MASSYNISSA

Nadciąga? tą stroną?

KAPITAN

Jest już w obozie.

ATARBAS

A więc nas zdradzonol

MASSYNISSA

Przez bogi żywe! Co począć?

SOFONISBA

Bądź mężem!

Tu gra ostatnia, na umór,—zwyciężem  
Lub zginiem.

SCYPIO (za sceną)

Chłopcze! weź mego rumaka,  
I wódz za cugle.

(Wchodzi)

A tu nowość jaka?

Wieją chorągwie, na koniach kulbaki,  
I hufce w szyku, jakby do podróży!  
Co to jest? Mówcież! kto dał rozkaz taki?

SOFONISBA

Ten, komu prawo tu rozkazów służy,  
Książę Numidy.

SCYPIO

Na Olimpu gromy,  
Więc me poselstwo źle tu zrozumiano?  
Mów, Massynisso!

SOFONISBA

Mnie chciej słuchać, mężu!

Po co grać w kłamstwo? Nikt się niem nie zmyli,  
Sam widzisz naszą gotowość w orężu.  
A więc posłuchaj i zadrzyj: W tej chwili  
W obozie całym masz przed sobą wrogów!  
Oni przekleństwo służbom Rzymu głoszą,  
A nawróceni do ojezystych bogów,  
Śmiało chorągiew Kartaginy wnoszą.  
Zaś w tej godzinie, konsulu, dla ciebie  
Zgubnie błysnęła zła gwiazda na niebie;  
Na rozpekniętym stanął wulkanie,—  
Już buchnął żarem, zapadniesz w otchłanie.

SCYPIO

W sam czas przychodzę hamulec dać grozie.  
Toż spojrzaj, kto tu jest panem w obozie,  
Scypio, czy też kobieta z pustyni!—  
W imię senatu i ludu rzymskiego:  
Głos buntu, mówię, to błąd—lecz zawini,  
Kto go posłucha,—sąd spadnie na niego.  
Kaźcie zatrabić odwrót! W oka mgnieniu!  
Zatrabić, mówię.—

SOFONISBA

Śmiesz nas hańbą korzyć?

Niechże ci krew twa ciąży na sumieniu!  
On w naszych ręku, trupem go położyć!

SCYPIO (dobywszy miecza)

Ha! tak rzecz stoi? A—no! więc do broni!  
Ja zaś wam mówię: nie są losy moje  
W ręku mych wrogów, ale w bogów dłoni!  
Nu—że! Wszak jeden na tysiące stoję;  
Lecz jam osłonię, przysiąg waszych strażą.  
Hufce ich zbrojne w brylantowe tarcze,  
Choć niewidome, wiarołomnych skarżą!  
Z taką potęgą ja tysiącom starczę.  
Kto śmie tu godzić w święte wodza skronie?  
Kto na Scypiona waży się wznieść dłonie!(Przywódcy opuszczają oręże; niema ich gra pod-  
czas następujących rozmów).

SOFONISBA

W imię ojczyzny! w proch z nim, no! rycerze.  
Żaden bóg obcych ciemniców nie strzeże.

SCYPIO

Cóż? Głuche dla was podmowy kobiece?  
Mówi: mnie bogi nie chcą mieć w opiece.  
Czegóż zwłóczycie?—Was pewnie miecz straszy,  
Co tak oświecał wam do zwycięstw drogę?  
Ot, precz go rzucam. W mocy jestem waszej;  
Z orężnej dłoni dziecka zginąć mogę,  
A wyście męże w szkole Scypiona  
Uczni, patrzcie śmierci w oczy chrobrze.  
Niech z was kto popis na mistrzu dokona!  
Tnij, Menalkarze! Wszak znamy się dobrze,  
Jam cię ocalił, gdyś upadł, a słonie  
Już cię zgnieść miały,—przystąp Kartaloni!Jam cię ostatnim mym puharem poił,  
Gdyś legł omdlały. Jubo, ty na stronie?  
Wszak trzy dni temu, jakim wieńcem stroił  
Za czyn waleczny twe młodzieńcze skronie,—  
Wy zresztą wszyscy, z którymi me życie  
Sercem związałem, czegóż odwłóczycie?  
Dalej! oszczepem w otwarte ramiona  
Udercie, wasza tam sława złożona,  
Przebijcie pierś tę,—tak się odwzięczycie!  
(Przywódcy cofają się).

SOFONISBA

Okrutny!

SCYPIO

Więc cóż? Nie chcecie, zwłóczycie?  
Żaden z was nie śmie nazwy mieć mordercy  
Wodza swojego? I dłoń przeniewiercy  
Nie chce się skrwawić? — Nie. — Wszak mię nie  
[zwodzi  
Wyraz lic waszych, wstyd tam i żal wschodzi.  
Obca was wola bezmyślnie prowadzi  
Na szlak występku—i pewnieście radzi,  
Jeżeli można, wejść znów na tór prawy?—  
Pokornie dłonie wznosicie? Błagacie?—  
Dobrze więc, wiedźcież: nie jak sędzia krwawy  
Do was przybywam, nie, wszyscy doznacie  
Łaski, gdy sami pod prawo wracacie.

(Przywódcy padają przed nim),

SABKAS

U stóp twych widzisz nas, panie!

SCYPIO

Powstańcie!

Dzielnym znów rodem pustyni zostańcie,  
I wierną bracią Rzymian; chcę przebaczyć  
Obłudom waszym, jak słowom pijanym;  
Lecz się nie dajcie więcej szaleń raczyć!  
Bo jak Orkusu moc, nieubłaganym  
Byłbym mścicielem z memi legiony,  
A na Meduzy głowę! wyostrzony  
Topór liktora: mógł by zdziesiątkować.

MASSYNISSA (wstępując naprzód)

Za łaskę jam ci winien podziękować  
W imię zbłąkanych. Teraz dopełń miary  
I na przywódcę wyrok ogłoś kary.  
Jam złamał wiarę tobie i Rzymowi,  
Od ciężkiej winy nie mię nie wymówi,  
Nawet żal. Takie przeznaczenie było,  
Co mnie ztąd rwało; o, czemuż chybiło!  
I tylko proszę: nie daj tej niewieście  
Za dopust mego losu pokutować!  
Jam winowajca, głowę moją weźcie!

SCYPIO

Nie chcę twej głowy. Jam zaczął budować  
Wspaniałe gmachy nadziei nie na tem.  
By nagle własną dłonią w gruz je zmienić.  
Ja cię nie rzucę. A coby przed światem  
Naczelnym Rzymu wódz nie śmiał uczynić,  
To śmie Scypion, druh, co tak zna ciebie.  
Jesteś na nowo w twym wodza urzędzie  
Stwierdzon przezemnie. W najbliższej potrzebie  
Staniesz ot, z tymi do walk w pierwszym rzędzie.  
I pokażecie niewiernemu światu,  
Że słusznie Scypion ufa swemu bratu.

PRZYWÓDZCY (wznosząc oręże)

Niech żyje Scypion!

MASSYNISSA

Zgniotło mnie twe słowo.

J jak Bóg mocny wzniosłeś mię na nowo.  
Lecz Sofonisba—cóż z nią?—powiedz!

SCYPIO

Ona

Ciężko zgrzeszyła przeciw nam. Duch ciemny  
Owiał ją skrzydłem rozpaczny tajemnej,  
I pchał wszechwładnie w otchłani bezdroże.  
Za to, co ludzka moc wstrzymać nie może,  
Mścić się nie będę jak za prostą zbrodnię.  
W dostojnem miejscu uwieczoną godnieSam ją strzedz będziesz. I żeby zawzięcie...  
Nie mogła znów w boleści głębokiej  
Nam szkodzić, wskaż jej zacne zajęcie.  
Jeszcze jej męża szlachetnego zwłoki  
Leżą w namiocie zmarłych. Tu je znieście!  
Przy jego marach niechaj ży niewieście  
Żar zemsty zgaszą. Wy bądźcie gotowi  
Zwyciężonemu li przez śmierć wrogowi  
Cześć dać królewską z ostatnią przysługą.  
I do widzenia przy marach, niedługo!

(Zwraca się ku wejściu).

PRZYWÓDZCY

Niech żyje Scypion!

(Scypion odchodzi, przywódcy cisną się za nim. So-  
fonisba stojąca na stronie, występuje na środek sceny).

SOFONISBA

O, jakżem zgnębiona!  
Straszliwy! kto dał tę moc duszy twojej,  
Co mnie druzgocze i podziwem poi!  
Gwiazd mego życia gaśnie już korona—  
Co za mąż! Chronieć mnie, bogowie moi!

Koniec aktu trzeciego.

## HISTORIA

## O JANASZU KORCZAKU

## I O PIĘKNEJ MIECZNIKÓWNIE

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

W zamku co żyło zerwało się na nogi na od-  
głos — orda idzie! orda. Tatarzy! Miecznikowa  
usłyszała wrzawę, otworzyła okno, doszły ją te wy-  
razy, ale mężna niewiasta zamiast się zwrócić tam,  
gdzie panowała trwoga, poszła tam gdzie pokój  
znaleźć zawsze mogła, do ołtarza. Ukłękła w ka-  
pliecze z Jadzią na krótką modlitwę. Jedna lamp-  
ka oświecała ją słabem światelkiem, które drgało  
na zwieszanej konającego Chrystusa głowie. Po-  
cichu odmówiły obie — Kto się w Opiekę... i pod  
Twoją Obronę...Miecznikowa wstała pokrzepiona i wyszła do  
pierwszej izby, rozmyślając czy tu ma czekać na  
jakieś wieści, czy wyniść do ludzi. Zdało się jej  
na teraz właściwszem pozostać, gdyż więcejby tam  
przeszkodzić niż dopomóc mogła. — Stała więc  
w oknie, z którego część podwórza, murów i zamku  
widać było. Most pałacy się jeszcze łuną czerw-  
oną rozświetlał okolicę na tle jej czarne mury stały  
groźne i posępne. Widać było przy blasku pożaru  
ludzi biegnących zewsząd ku murom i basztom,  
spinających się na dachy, i Jabłonowskiego, który  
ze swemi porządek starał się utrzymać.Największy gwar, jaki płynęły od dolnego zamku  
gdzie się znaczniejsza część ludności schroniła,  
przestrach był wielki i wyrażał się słuchaniem,  
a zawodzeniem kobiet, płaczem dzieci, wykrzykami  
gromady.Stary Abraham chodził w śmiertelnej koszuli  
i modlił się, inni jego wyznawcy kulili się po ką-  
tach.Większa część ludu wysypała się przed wrota  
ku pałacemu się mostowi, w pewnem oddaleniu wi-  
dać było kupkę jezdnych i kręcące się gromady  
niszczącej dziczy. Nieśmiała ona przypaść bliżej,  
znać obawiając się strzałów. Niektórzy jakby dla  
postrachu tylko wypuszczali z łuków pociski, które  
padały na bramę i między ludzi, ale bezsilne. Most  
suchy płonął częścią w górze częścią obalony w wą-  
wozie, kawałami opadał, iskry sypały się z dymem,  
płomień przygasało i wznagało z nową gwałtowno-  
ścią. Ogień przeskakiwał z pała na pał i szedł  
niszcząc całą starą tę budowę.

Tatarzy dosyć gwałtownie przypadli pod za-

mek, znać się nie spodziewali, aby miano czas most podpalić lub nawet przygotować się do tego. Myśleli, że wprost przypadną do pierwszej bramy bez przeszkody, podłożą ogień i opanują podwórze, które zajmą, łatwo górny zamek do poddania się zmuszą. Pożar, który ich przywitał, zdumił razem i złość pobudził. O ile widzieć było można przy łunie pożarnej, znaczna część skoczyła zaraz na bezbronne miasteczko, w domu już żywej nie było duszy. Najśmielsi pozakopywali się w lochach, dołach i pokopanych pod domami pieczarach.

Domy pustkami stały. Ci co mieli trzody uszli z nimi w góry i pochowali się w znanych sobie jaskiniach. Nie było więc na kim złości swej wyrzeć. Miasteczko z chat i domów lepionych z gliny i chrustu złożone, z dachami słomą i trzezną krytymi, łatwo było podpalić.

Była to pierwsza zemsta za most, który ich wstrzymał. Tu dogasały głównie dymiąc w przepokopie, gdy nie opodał płomień buchnęło po rogach mieściny. Lud, który zbiegł z domostwa odpowiedział jakim ogromnym. Nędzne te chaty były jedynym jego przytułkiem. Wspinano się na mury, aby dojrzeć z kądem płomień i czy się co cudem nie ocali. Miasteczko położone w dolinie widać było jak na dłoni. Dym buchał z kilku zażegnanych ognisk, stłumiony jeszcze, zwolna dobywając się gęstymi kłęby czerwonymi z pod dachów. Wśród rynku, płotów i po ogródkach uwijały się kupy dzieci plądrujące, przetrzasujące kryjówki i szukające tych co się tam schronić mogli. Kiedy niekiedy jęk bolesny i krzyk radosny dolatywały razem. Pożar szerzył się szybko, gdyż Tatarowie pamiętali o tem aby od wiatru podłożyć ogień, i mieć w pomoc pęd jego, który niósł iskry i zagwie na dachy. Szerzej jeszcze niż przedtem od mostu, rozjaśniała okolica, nawet bliższe góry zarumieniły się łunami, które chmury pędzące po niebie odbijały jak zwierciadła.

W strumieniu krwawy blask, czynił go jakby potokiem krwią płynącym. Teraz dopiero można było całe niebezpieczeństwo i siły tatarskie rozmiarzyć. Zalegali całą dolinę, podzieleni na różne kupy, które niespokojnie kręciły się do koła. Po kilkadziesiąt puszczali się pod zamek, stawali wrzeszcząc, jak najbliższe murów, potrzaskali łukami, puszczali strzały na lud, który po blankach się ukazywał, i biegli dalej szukając kędyby przystęp był łatwiejszy.

Tymczasem kasztelanica, który z dworaka nagle stał się żołnierzem, z zapalem rzucił się ku obronie. Przemówiła krew i rycerskie tradycje, zapomniał o pięknej twarzy, o stroju i o wszystkim. Biegał, zagrzewał i śmiejąc się dodawał otuchy. Tak zwiedzając wszystkie kąty napadł na obalone w kacie dwie stare śmigownice, znalazł się i moździerz dawny, niewiele wart, ale mogący nastraszyć nieprzyjaciela. Ze swoimi ludźmi, z których jeden był, jak mówił, kawałkiem puszkarza, zajął się opatrzaniem tej od Boga zesłanej artylerji. Jedna ze śmigownic z dawnych czasów znać zagwożdżoną była, druga cała. Moździerz też z biedy mógł służyć. Kule acz kamienne jakieś stare, do kalibru się znalazły.... a gdyby ich nie było, siekańcami by strzelać można. Z jednej strony staw zamku bronili tak, iż się doń dostać nie było podobna. Śmigownice więc na boczny mur wciągnięto jedną, a po drugiej stronie ustawiono moździerz. Ponieważ w nocy podkradzenia się lękać było można, po rogach rozpalono ognie, aby mury w ciemnościach strzedz od drabin i cichej jakiej próby, którą Dorszak mógł pokierować.

Tatarzy jawnie ani się kusić nawet zdawali nocą, i poczęli kłaść obozem w dolinie, podzieleni na różne kotły i kupy. Tu i ówdzie zaświeciły ich ogniska, a przy nich naprędce postawiono namioty. Tuż naprzeciwko mostu, w niewielkim oddaleniu, położyl się znać Murza Szejtan, bo tam był namiot największy, a przed nim na kiju zatknięty powiewał buńczuk z ogona końskiego.

Przy świetle płonącego miasta, można było widzieć przed buńczukiem, na trzech pikach, dla postrachu wetknięte, trzy ludzkie głowy—mieszczan których z lochów wydobyto i pościnano. Tłum który stał w bramie poznawał te twarze i głowy ze zgrozą i spierał się o nie. Kobiety płacząc ręce łamały, starsi stali w ponurem milczeniu.

— Lepsi jassyri!—mówili jedni.

— Lepsi śmierć—odpowiadali drudzy.

Niektórym zdało się, że przy namiocie Szejtana rozpoznawali Dorszaka, chodzącego w krymce tatarskiej na głowie i przyodziewku, jakiego ani Nogajcy, ani Budżaki, ani Lipki nie nosili.

Całą noc, jak się zdawało, potrzeba było w oczekiwaniu i czujno spędzić, bo któż mógł przewidzieć co zdrada obmyśli i spróbować może?

Lud też wszystek zagrany był niezmiernie zemstą za zamordowanych i gotów ku rozpaczliwej obronie. Wprawne oko tych, co kupy tatarskie widywali, rozliczało tabor ten Tatarów na tysiące, chociaż w ciemnościach dojrzeć było trudno, ale z rozległości obozu wnoszono. Jabłonowski ledwie na tysiąc głów go rachował. Na zamku tych, co bronić się mogli i umieli ani sta nie było, ale mury i woda, brzeg stromy i męstwo wielkie. Wiedzano też że Tatarowie nigdy długo nie stoją i nie trwają w jednym miejscu, a ten rój, zebrany z różnych band rozpięchłych, prędko rozstroić się musiał.

Od miejscowych ludzi dowiedział się Jabłonowski, że Dorszak pewnie na noc rachował, mając kogoś ze swoich na zamku i zdradliwą jakąś gotując niespodziankę.—Żona jego jak tylko pierwsza wrzawa powstała, zabrać kazawszy co miała swego, schroniła się w Horpynką na wieżę pod opiekę Miecznikowej. Chociaż tylko jedno dziewczę mówiło że postrzegło Tatianę, wierzone iż ona musiała się na zamku ukrywać i przybyła tu niedaremnie. Ludzie suche dachy i kawałki drzewa zbierali, koląc na drzazgi, aby ogień przez noc dla oświecenia bliższych części zamku utrzymać.

Tak zbiegł czas do północy.

Pierwszy popłoch przeszedł powoli, niektórzy kładli się pod wozami znękani, niedbając już co się z nimi stanie. Powoli gwar ustawał, cisza się rozciągała po nad popieliskami dogorywającej mieściny i na zamku; ostatnie głównie dogasały.... Dolina pełna była duszącego dymu, który wilgotne powietrze przyciskało do ziemi. Kiedy niekiedy odzywały się czaty. Jabłonowski z dziedzińca nie schodził. Był w swoim żywiole i piękna twarz pałała mu rycerskim ogniem; zapomniał o wszystkim oprócz boju, którego był żądny.

Kobiety patrzac nań zdala z okien nie mogły się powstrzymać od wdzięczności, a Miecznikowa szczerzej bohaterek go znajdowała. Córka żołnierza, nie mogła się nacieszyć młodzieńcem, który i rycerskie przymioty i ogładę dworaka łączył w sobie. W jej oczach był to ideał, o jakim marzyła, żywego nigdy nie spotkawszy w życiu. Bolała, że jej Bóg nie dał takiego syna, a pociechu, wdychała może żeby takiego mogła mieć zięcia. Daleko chłodniej patrzała nań Jadzia, ale i jej się podobał. Smutno jej tylko było, że chory Janasz nie mógł stanąć obok niego i niepośledniejszej odegrać roli. — Widziała przed sobą kasztelanica, ale myślała więcej o tym, którego nie było....

Jabłonowski, który się często po górnym zamku przesuwiał, zobaczywszy w oknie kobiety, podnosił ku nim piękną swą głowę, witał je, otuchy dodawał i zawiązywał krótką z Miecznikową rozmowę. Pani Zboińska nie mogła się owego kawalera tak mężnego, przytomnego i tak zręcznego odchwalić.

Jadzia milezała podparta na rękę. Ile razy wzrok kasztelanica padał na nią, spuszczała oczy i starała się patrzeć gdzieindziej.

Z północy się wszystko uspokoiło. Pożar, który zniszczył miasteczko, znikł był zupełnie, a głównie pozostałe ze spalonego mostu dymiły w parowie. Spuszczono się na nie zrazu nie oświecając tej strony zamku. Teraz prawie była ciemna. Dość głęboki przepokop zdawał się z tej strony zabezpieczać. Straże stały u bramy w pewnym oddaleniu.

Nikicie, który tu objął stanowisko i ucho miał czujne.... zdało się że posłyszał szelest naprzód ze strony przeciwnej parowu, potem w samej jego głębinie.

Ciemno już było, rzucił się na ziemię i podpełznął na sam brzeg, gdzie para osmalonych palów stała. Chwytał się za jeden z nich ręką i pochylił przysłuchując w głębinę. Z początku cicho było, leżał nieruchomy, szmer i szeptanie usłyszał po chwili.

Odgadnąć było łatwo, że się musiano podkradać zwolna, korzystając z ciemności i że tylko Dorszak znający doskonale miejscowość, mógł tędy ludzi prowadzić. Co prędzej podpełznął Nikita ku bramie, cicho się ze swoimi kilku rozmówił i wszyscy

pobrawszy rusznice, znowu tułac się do ziemi, unikając najmniejszego szelestu, zbliżyli się nad samo urwisko, rozłożyli rżędem i legli.

Po chwili mogli już rozeznac drapanie się przez krzaki, brnięcie ostrożne przez wodę, ciche nawoływania i chód ku brzegowi, którego pilnowali.

Nikita posłał uwiadomić Jabłonowskiego, ale żądał, aby nie czyniono najmniejszego hałasu. Ciemność nie dozwalała widzieć ilu Dorszak mógł mieć z sobą ludzi. Zdawało się, że coraz nowi spuszczały się z przeciwnego brzegu i zalegali parów. Wprawnym uchem Nikita rozmiarzał odległość od siebie tych, którzy torowali drogę. Ciche szepty ich zbliżały się.

Jabłonowski nadbiegł ze swymi ludźmi i kazał się im na ziemi położyć, i jak pierwsi.... tak, aby na dany znak ognia dać mogli. Na bramie przygotowano suche drzewo na sklepieniu drugiego piętra; i kasztelanica poleciwszy je w stożek ułożył na grubym murze okna, smołą podlane, nagle kazał zapalić. Błysnęło w górze jasne płomień, a światło padając na część parowu, odkryło całą jego ścianę jakby usłaną głowami tatarskimi. Jedni stali na dnie, drudzy się ku niemu spuszczały. Kilkunastu już pięto się do góry. Na znak od ognia, Nikita i z nim będący ludzie, wypalili z rusznicy do parowu. Za nimi skoczyli kasztelanica ludzie i strzelili po raz drugi.

Jak w poruszonem mrowisku zawrzało wszystko w głębi przepokopu, krzyk powstał dziki, którym Tatarzy nawykli byli straszyć równie jak strzałami. Ci co stali na spadzistości sygneli niemi.... Tymczasem Kasztelanica sam jako tako wycelowawszy śmigownicę, podpalił ją. Huk się rozległ ogromny. Kłęb dymu okrył na chwilę głębię parowu i Tatarzy z popłochem wielkim uciekać zaczęli. Nikita już miał czas rusznicy ponabijać, dano z nich ognia raz jeszcze do pierchających, a ludzie Kasztelanica poprawili wkrótce.... W głębi widać było i słychać pluszczących się w wodzie ranionych i ciała zabitych. Kula ze śmigownicy padła szczęśliwie w samą gąszcz i stłukła kupę na miążgę. Niewysłowiona trwoga i złość razem objęła dzicz, której wrzaski powtórzył obóz rozbudzony.... W tem nagromadzone łuczywo w oknie bramy dogasało i ciemność znowu zaległa przed chwilą krwawą scenę.... Słychać było kupy uchodzące, niezrozumiałą wrzawę i przekleństwa. W pewnym oddaleniu zatrzymało się to wszystko. Na zamku znowu cisza była. Ludzie w dolnym podwórze wylekli i ściśnięci w kupę, zaczęli się uspokajać. Jabłonowski pod karą nakazywał milczenie.

Po tej nieudanej wycieczce, zdawało się że noc przejść może spokojnie i że się już drugiej obawiać niema potrzeby. Było jeszcze godzin kilka do dnia. Jabłonowski z tryumfem wrócił na górny zamek, a spostrzegłszy Miecznikową w oknie z Jadzią, poszedł je uspokoić.

Zboińska powitała go we drzwiach, twarzą jasną i wyrazami wdzięczności.

— Mój kasztelanicu, jakże my się wam wywdzięczmy, za wasze dla nas poświęcenie!

— Ale to szczęście prawdziwie trafić na tak wyśmienitą grę, jaką mam z łaski pani Miecznikowej, odezwał śmiejąc się Kasztelanica. — Dwadzieścia lat czekać potrzeba nim się co podobnego trafi! To prawdziwa gratka dla młodego jak ja wojskowego.

Tatarzy chcieli nas wziąć cichaczem pociemku podpełzną pod bramę. Nikita pani podsłuchał ich, zakradł się, i—prawdą a Bogiem, jemu należy się główny dank za to, żeśmy im dali naukę. Nie wiem ilu padło, ale musiało sporo legnąć, bo mi śmigownica dobrze dopisała i ludzie usłużyli wybornie. Słowem, że na dzisiejszą noc spokojni być możemy i przyszedłem prosić pani Miecznikowej, aby raczyła spocząć bezpiecznie.

— Al mnie się wcale na sen nie zbiera, westchnęła Zboińska.

— Ale pannie Jadwidze pewnie piękne oczki się kleją.

Nazwanie pięknymi jej oczów, zdało się oburzać Jadzię, która zdziwioną i dumną minę zrobiła.

— O! mnie się wcale spać nie chce, gdy drudzy dla nas czuwać muszą, rzekła spokojnie, prędzejbym na baszcie poszła gdzie się przyglądać.

— Na nieszczęście nie widać nic a nic, oprócz ciemnej jak piekło nocy, odezwał się kasztelanica

nico zbliżając się do Jadzi, która powoli oddalała się w miarę jak ku niej postępował.

Spostrzegłszy to Jabłonowski, stanął, pokręcił wąsika, nie nawykł znać był do tak surowego obejścia. Matka też znajdowała go niewłaściwym w Jadzi, gdyż chętniejby zbliżeniu się pomogła niżeli zaskodziła.

Kazano przynieść wina, którego był jeszcze zapas, znalazł się piernik toruński i Miecznikowa rada była, że gościa czem przyjąć miała. W tem nadzedeł i ksiądz Żudra, pot ocierając z czoła.

— Cóż Janasz? spytała Jadzia, podchodząc, z widoczną niespokojnością.

— No, teraz już nie—odpowiedział ksiądz Żudra, jakoś mi się udało go uspokoić. Na pierwszy okrzyk, który się dał słyszeć, zerwał się był, ubrał i wyskoczył na wschody, opaski mu z ran pospadały, krew zaczęła uchodzić, i ledwie go zmógł, że na pół omdlały, dał się do łóżka położyć. Przez cały czas, gdy trwała wrzawa, na siłę go mogłem przytrzymać, bo się jak szalony wyrwał, dopiero gdy ucichło, mogłem go gwałtem do łóżka zmusić i usnął osłabiony. Kara Boża z tą młodością! dodał kapłan.

Jabłonowski się rozsmiał.

— Przecież się i ona na coś w świecie przydać może! zawołał na Jadzię patrząc.

Miecznikowa milczała, córka oczy miała wlepione w księdza, blada była i wrzuszona. Poznać było łatwo, że gdyby jej dozwolono, pobiegłaby zobaczyć co się tam dzieje, lecz teraz ani o tem myśleć mogła. Surowy wzrok matki trzymał ją przykucie.

— Młodość, dodał Kasztelaniec, i na to się jeszcze zda, że tam gdzie stary by nie wytrzymał, młody się wylize. Goi młodość rany, choć—nie wszystkie—rzekł ciszej, z rycerza przechodząc w uśmiechu na dworaka. Serdeczne za to rany dla nas niebezpieczniejsze.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## LISTY Z ZAGRANICY

przez J. I. Kraszewskiego.

Nowa powieść Fanny Lewald.—Kilka słów o niej.—Samobójstwa.—Przyczyny ich.—Z sądu przysięgłych.—Obchód ku czci Händla w Londynie, w pałacu kryształowym.—Muzyka na olbrzymią skalę.—Program i wykonanie.—Śmieciiska i łachmany.—Galareta ze starego buta.—Resztki życia.—Odpadki i śmiecie.—Skóry.—Kości z Egipskich mumii.—Stara odzież i nowe suknie.—Shoddy.—Pomyje.—Nowa powieść pani Beecher.—Stowe.—Zbiór novelli.—Idy von Düringsfeld.—Dzieła króla szwedzkiego Oskara II.—Opera narodowa szwedzka.—Nowości teatralne niemieckie.—Clara Ziegler w roli Maryi Stuart.—Pan Sonntag.—Napoleon I.—Teatr chiński w San Francisco.

Imię Fanny Lewald nie powinno być obcem naszym czytelnikom, choć nie wiemy czy które z jej pism na nasz język przełożone zostało. Talent to znakomity, a specyficznie niemiecki, panujący nad sobą, wstrzemięźliwy, obrachowany, kunsztownie wykształcony i znający kunsztu warunki. Każda nowa książka autorki obudza zajęcie i znajduje w Niemczech mnogich czytelników. Nie znalazłaby ich może u nas, bo my jakoś z innego stanowiska na świat się zapatrujemy, ale uznania talentu nikt jej odmówić nie może. Fanny Lewald wyszła nowa powieść dwutomowa, pod tytułem: „Benedykt”. — Zwielu względów nie chcemy opowiadać całej treści utworu, razi ona, szczególnie w chwili obecnej, gdy okoliczności nakazywały większą względność przez użycie delikatności, właściwe kobiecie. Bardzo szczęśliwie wycieniowany, chociaż nie nowy jest charakter bohaterki, panny baronówny Wiktoryny Landesheimer, która całego świata potrzebuje do zabawy i bawi się tak doskonale, że na ofiarę sobie zabija bez wzdrygnięcia co się nawinie. Nie jest to kobieta zła — ale potrzebuje roztargnienia a niema serca, żyje głową.—Bohaterka ta wpleciona w dramatyczną historię młodego nowicjusza w klasztorze, Benedykta; matka jego Jakobe; pani baronowa matka Wiktoryny, hrabia Stefano, młody patrycjusz rzymski, Opat klasztoru i pater Theofilus—składają cały personel dramatu, rozwijającego się naturalnie i plastycznie. — Koniec jest nieco przy-

spieszony i mniej wykończony. Po dzisiejszemu zamyka się to—samobójstwem....

Charaktery kobiet bardzo są szczęśliwie pochwycone i z pewnością ręki wprawnej nakreślone.

Samobójstwo! Jest-li to choroba wieku? jest-li to słabość ducha, skutek wychowania, czy fizycznych wpływów? Niepojęta! Nigdy statystyka samobójstw tak straszliwych liczb nie wskazywała—całe rodziny, ojcowie i matki z dziećmi ponoszą śmierć dobrowolnie, ani chcą nawet szukać środków podźwignięcia się z chwilowego upadku pracą, wzięciem o braterskiem uczuciu społeczeństwa, zaskorupiającego się w egoizmie przerażającym.

Niepodobna obojętnie patrzeć na to znamię wieku, które zdradza wewnętrzne zepsucie i zgniliznę. Obwiniać można pojedynczych ludzi, ich wychowanie, wpływy szczególne, brak miłości dla rodziny i przekonania o obowiązkach, ale nade wszystko obwiniać należy społeczeństwo niechrześcijańskie, nie ludzkie, w którym nikt nie pokłada ufności, o którym z góry wie każdy zrozpaczony, iż mu w pomoc z braterską nie przyjdzie dłonią.—Każdy sobie i każdy dla siebie! jest to godło wieku—a to są jego owoce. Potrzeba dowodzić, że rozzerwanie tej spójni, która wiązała dawniej parę, rodzinę, gminę, naród, państwo w jedną solidarną całość—a nade wszystko w jedno chrześcijańskie społeczeństwo dzieci Chrystusowych, jest całą złego przyczyną? Chciano zmuszając indywiduala do myślenia i pracowania dla siebie samych, wzmocnić je i ukrzepić,—odjęto im więc wszelką nadzieję w pomoc braterską, w opiekę społeczności—skutkiem tego jest, że gdy człowiek o własnej sile zwątpić i sam sobie rady dać nie umie,—zrywa węzeł wiążący go z życiem....

Statystyka samobójstw wskazuje częstokroć winę w przeszłości człowieka, występki jako nasienie i zaród samobójstwa, ale i w takim razie nielitościwe obchodzenie się z winnym, spada na społeczność, która bezwzględnie potępia, zamiast starać się o poprawę....

Kto czyta codziennie dzienniki, tego trwoga jakaś opanowuje! tak niesłychanie błahe często są pobudki rozstających się z życiem. Najmniejsze niepowodzenie zraza... „Ich gehe ins Wasser“, odpowiada z najzimniejszą krwią sługa, której się czyni przedstawienia, że przy swem postępowaniu służby i chleba mieć nie będzie. Zamiast poprawy—chłodno i obojętnie „Ich gehe ins Wasser“. Matka, której trudno na siebie i dziecię zarobić, przywiązuje je do piersi i rzuca się z mostu w rękę, cała rodzina: ojciec, matka, dwoje dzieci dorosłych, trują się—bo im jakoś nie poszło na świecie!

Są to fakta powszednie, nikt się im nie dziwi nawet, nikt o nich nie mówi, znajdują to wszyscy bardzo naturalnem. Jako najlepszy komentarz do nich z wczorajszego dziennika wyjmuję mały ustęp—sprawozdania z sądu przysięgłych. On nam najlepiej objaśni może samobójstw przyczynę. W sprawie o podpalenie przeciw niejakiemu Ernestowi Klemensowi Boden, ósmy świątek *kobieta*, pani Hempel staje przed sędzią, dr. Francke.

— Do jakiego kościoła należycie? pyta prezydujący.

— Do Arnoldsdorf.

— Ja o tem wiem, ale do jakiego wyznania? Jesteście chrześcijanką?

— A tak.

— Jakiego wyznania?—Zapytana milczy.

— No, jakże, jesteś waćpani katoliczką? — Hempelowa odpowiada—nie:—powiedzcież nam, odzywa się prezydent, jak wasz pastor ubrany, gdy do kościoła przychodzi?—Zapytana milczy (nigdy go nie widziała). Słyszałaś pani kiedy o kościele reformowanym? Znasz pani imię Lutra?—Pani Hempel nie odpowiada.... Sąd przechodzi do słuchania innych świadków.

Przypuszcie, że ta kobieta jest matką i że się znajduje w przykrem położeniu — jak dzieci wychowa? co jej pomoże do walki z przeciwnościami, co jej da siły? Wprawdzie jest to może wypadek rzadki, wyjątkowy, lecz — lecz i te kobiety co wiedzą jak pastor jest ubrany, w szkółce się żadnego nie uczyły katechizmu, do czternastu lat nogą nie powstały w kościele, a po konfirmacji, bywają w nim dla muzyki, czasem, ale bardzo rzadko. Gdy religia znikła, a to co ją niby ma zastąpić, nauka i oświata nie przyszły jeszcze, zostaje naturalnie bezkrólewie, w którym człowiek kieruje się instynktami i bałamućmi pojęciami pochwytanymi pro drodze.

Smutne to są rzeczy, ale jakże ich w kronikę naszych czasów nie wpisać? Jesteśmy przecie na gruncie tych Niemiec, które mają prowadzić kulturę i cywilizację przyszłości!

Przejdźmy do weselszych rzeczy. W Londynie obchodzono uroczyste rocznicę (189-tą) urodzin Händla „our own Handel.“ Nadzwyczaj smutne to wrażenie uczyniło w Niemczech. Anglicy sobie przywłaszczyli (anneksowali) Händla—wołają;—roszczą sobie pretensje do znacznej części Mendelssohna i Haydn'a, dlatego, że ich dzieła dla Anglii były pisane, Francuzi nam wzięli Glucka i po części Meyerbeera, Włosi gotowi przywłaszczyć Mozart'a, został nam jeden tylko Beethoven, a i do tego z powodu *van*, Holendrzy lub Flamandy gotowiby się przycepić!

Prawdą a Bogiem, na te zażalenia, tem tylko odpowiedzieć można, iż człowiek najwłaściwiej należy do kraju, który go uznał, w którym żył i którego ducha poślubił. Cóżbyśmy powiedzieli, gdyby nam odbierać chcieli Pola, Kremera i Libelta? Nie będziemy się z niemi spierać o Händla, ale dlaczegoż szukać musiał sławy, chleba, współczucia aż w Anglii?—Rocznice mieli więc prawo obchodzić Anglicy i obchodzili ją też najprzód u grobu twórcy nieśmiertelnych oratoryów, w Westminsterkiem opactwie, dnia 26 maja 1784 r. Chór śpiewaków składał się ze 274 głosów, a orkiestra tylko z 251 grających. Tegoroczny obchód w Crystal Palace, na nieskończenie większą skalę, liczył trzy tysiące śpiewaków (757 sopranów, 800 altów, w tych 200 głosów chłopięcych, 700 tenorów! i więcej niż 700 basów). Orkiestra towarzysząca temu olbrzymiemu chórowi, składała się z osób 450 (95 pierwszych i tyleż drugich skrzypców, 62 altówek, 62 violoncell, 59 basów, 8 fletów, 8 oboi, i t. p.). Na wielkim organie kryształowego pałacu, grali Willing i Bert z Liverpoolu. Ten festival Händlowski był już siódmym z rzędu i najwspanialszym. Co lat trzy Anglia tak cześci pamięć wielkiego kompozytora. Na taką skalę jak tu, tylko w olbrzymim gmachu kryształowym można wykonać coś podobnego, gdzieżby się indziej takie masy wykonawców i słuchaczy pomieścić mogły? Cztery tysiące muzyków i przeszło dwadzieścia tysięcy gości! Środkowa nawa gmachu z pomocą zasłon oddzielona od innych części, stanowi salę koncertową; pod organami mieszczą się śpiewacy i orkiestra; słuchacze na dole i galeryach. Abonenci, mający wstęp stały do kryształowego pałacu, pozostają w nawach bocznych i słyszą co ich dochodzi. Bilety wniścia drogie dosyć, są po 25 shil. pierwsze miejsca, drugie po 21, trzecie po 15, a nienumerowane po 7; nieco taniej wypada, gdy kto kupuje razem bilety na całe trzy dni trwania koncertu.

W piątek d. 19 czerwca, pierwsza próba ogólna trwała od południa, prawie do godziny szóstej—oklaski po każdym numerze ogłuszające. Dyrygował p. Michael Costa, Włoch rodem, oddawna zamieszkały w Anglii, dyrektor opery J. K. Mości w Drury Lane. Solowe śpiewy tylko niektóre wykonywano na próbie, głównie zaś choralne części programu;—ten składał się z ułożonego na orkiestrę przez Costę „God save the queen“, po którym następował Messiasz, chociaż niektórzy życzyli sobie, aby rozpoczęto od „Izraela w Egipcie.“ Drugiego dnia był wybór kompozycji duchownych i światowych: *Occasional oratorio* (1746 r.), wyjątki z Samsona, Saula, Jefty, Zuzanny, Teodory i z *Jubilate*, napisanego z powodu zawarcia pokoju w Utrechcie (1713 r.). Druga część rozpoczęła się ezwartym organowym koncertem, wyjątkami z Acysa i Galatei, odą Drydena św. Cecylii poświęconą i t. d. Pierwszego dnia sprzyjała pogoda, we środę począł deszcz padać, a w piątek drobny kapusniaczek gęsty, cały czas nie ustawał. Pomimo to kolej przywoziła tłumy i porządek w nich panował wzorowy. Chóry miały wspaniale brzmień i pięknie, ale głosy solowe ginęły ledwie dosłyszane, wrażenie było wcale nie tak wielkie, nie tak przejmujące jak się spodziewać było można.

Z miejsc naprzeciwno muzyki położonych sola doskonale słyhać było, ale chóry ogłuszały—w ogóle koncert być miał daleko przyjemniejszym dla oczów niż dla uszu. Sama idea tych olbrzymich popisów, nam się wydaje raczej dziwną niż szczęśliwą, muzyka bowiem nie na natężeniu nie zyskuje, traci chyba i ono usprawiedliwiać się może tylko

tam, gdzie trzeba nakarmić tłumy. — Cieniowania w wykonaniu naturalnie prawie całkowicie niknąć muszą.

Anglików jak Amerykanów napada czasem ochota excentryczności na skalę niedostępną dla drugich, chociaż umieją oni też i nieskończenie drobne a liche rzeczy zużytkowywać. Gdyby przejście od muzyki do łachmanów nie było zbyt rażącym, a weszło korespondentowi w kanikule, którą się wszyscy dziennikarze i korespondenci składają — p owiedzielibyśmy coś może ciekawego o użytkowaniu z tego co się wyrzuca na śmiecie — w Anglii, opierając się na Simmons'a: Waste products and undeveloped substances."

Simmons opowiada, że niedawno w Nowym Yorku, w jednym klubie, podano na stół galarety, półmisek bardzo okazały i przy nim postawiono — podarty but stary. Galareta z pomocą jakiegoś procesu chemicznego, dobytą została z rodzzonego brata tego starego buta. Czy ją kto jeść próbował, o tem niema wiadomości. W galarecie zamknięta była nauka moralna: ażeby starych, wykoszlawionych łapeńców nie rzucać na śmiecie, bo i te się na coś przydać mogą.

(Dokończenie nastąpi).

## NA WSCHODZIE, USTĘP Z WYCIECZKI NAD AMUR

Napisał S. Maksimow.

Handel herbata.

(Dalszy ciąg).

Pograniczny komisarz wydaje bilet, a strażnik komory bezustannie noszący szablę w ręku i stojący w bramie, przepuszcza nas. Nie jesteśmy ani w ogrodzie, ani na polu, na około nas znajdują się drewniany parkan, odór jakiś nieprzyjemny raz powonienie, idźmy więc dalej. Oto przed naszymi oczyma ukazuje się jakiś parawan z desek jaskrawo pomalowany i niewiadomo dla jakiego celu wzniesiony; za nim sterczą wrota wyżłobione w ścianie i wiodące bezpośrednio do miasta. Parawan ten zasłania wrota, wedle chińskiego zwyczaju i wzoru. Wymińmy go i śpieszmy dostać się do wrót. Jeżeli spotkamy się w nich z drugim ekwipażem, nasz nie wydobędzie się, bezspornie uwięźniemy i chociażby swoim zwyczajem stangret nasz kłął ile mu się tylko spodoba, długo postoiśmy daremnie. Byłoby to rzeczą bardzo przykrą, gdyż dni są zimne, króciutkie jak w styczniu i mróz wielki dokucza.

Zaraz za wrotami, wedle ogólnie przyjętego zwyczaju, spodziewaliśmy się wjechać w ulicę, a tymczasem natknęliśmy na dom. Zmuszeni byliśmy zawrócić to na prawo, to na lewo, żeby zobaczyć jeden kraniec i drugi, a w środku perspektywę jakiegoś wąziutkiego korytarza, który krajowcy każą nam uważać za ulicę. Przyznaje mu to miano i nasz woźnica, który rusza pędem na dół, wedle wskazanego kierunku. Domy wznoszą się po obu stronach ulicy, na prawo i na lewo, lecz stoją w tak blizkiej od siebie odległości, że skrzydła u sani broniące od wywrotu, oniemał nie zaczepiają o węzły domów i o wrota, a gdyby nasz automedon chciał zapalić fajkę w oknie z prawej strony leżącym, to splunąćby musiał koniecznie w lewo. Obawiamy się ciągle spotkać z drugim ekwipażem, który nie nadjeżdża jedynie dla tego, że mieszkańcy Kiachty przychodzą tutaj zwykle pieszo, innym zaś miasto Majmacyz

już się naprzykrzyło, a zresztą nie miewają z niem żadnych interesów i stosunków.

Przejechalimy wzdłuż całą ulicę kierując się ciągle na dół, wpatrywaliśmy się w każdy dom, oglądaliśmy się ciągle to po za siebie, to na prawo i na lewo, namyślając się i kombinując niezliczone szczegóły, jakie się nasuwały oczom, w jedną całość, pod jakiegokolwiek urobione już w umyśle pojęcie podchodzącą. Mielimy przed sobą coś dziwnie oryginalnego, jakąś wielką zabawkę, zbiór cacek — pomiędzy którymi roily się tłumy jaskrawo ubarwione. Nalepiono tu, nagromadzono, nabudowano bez miary. Z po za każdego węgla lub kąta sterczały jakieś drzwi lub okna, przypominające to wioskę, to znowóż miasto. Cała perspektywa ulicy przedstawiała niewidziany nigdy przedtem obraz. Rozpoczynając porównanie z Petersburgiem lub Moskwą, nie przyjdzie się do żadnego rezultatu. Za to gdy sobie przywiedziemy na pamięć wyroby chińskie z kości słoniowej, w których wytrzymałość snyceera przeszła wszelkie granice prawdopodobieństwa pod względem zuchwałości pomysłu i drobiazgowości wykończenia, pojęcie o ulicy Majmacyznu zaczyna zarysowywać się wyraźniej i z większą dokładnością. Tak, w samej rzeczy, są to filigranowe roboty, cacka — dzieła stwierdzające niezmierną cierpliwość a nawet uzdolnienie swych twórców. Rozpoznać to można na pierwszy rzut oka, a po bliższym obejrzeniu kilku domów każdego z osobna, pierwsze spostrzeżenie nabiera niezachwianej pewności. Szczególną zręcznością odznaczają się upiększenia na wrotach; nie tak liczne i pstre są na samych domach, gdyż wedle wyobrażeń krajowców, wejście powinno pociągać i przyjać do siebie przedewszystkiem gościa. Wszystkie budowle są jednopiętrowe. Jeden tylko Chińczyk stał się niewiernym zwyczajowi narodowemu i w starym swoim domu wznosił i drugie piętro; ten sam odstępcą był pierwszym także, który przed innymi kazał zrobić swoją fotografię. Ci z właścicieli, którzy nie mają bram w swych domach, wyczerpują cały zapas fantazyi na sztukateryjne ozdoby drzwi i okien i można głowę położyć, że każdy Chińczyk którego kieszeń obficie jest zaopatrzoną w złoto aniżeli innych, zaprowadził u siebie więcej pstroka-

cinzy i nalepił mnóstwo sztukateryjnych ozdób bez liku i niezdarnie. Najulubienszymi upiększeniami u Chińczyków, są napisy zamieszczone nade drzwiami. Są tu skreślone zazwyczaj wyrażenia mędrców Konfucjusza i Lao-tse. Nad wrotami domów również mieszczą się różne napisy, firmy domów handlowych na sposób europejski i dostrzegać się tutaj daje ta sama przesada, co i gdzieindziej. Oto na przykład w przekładzie na język nasz znaczenie nazwisk rodzin używających w handlu wziętości i do brze znanych: Van-Sin-Czy — kwitnący pomyslnością, jaka towarzyszy mu we wszystkim; My-ju-kon — prawdziwe uosobienie sprawiedliwości; Szy-tyczuan — utrzymujący się enotami kilku pokoleń; Chyn-sin-ty — enota ciągle udoskonalająca się; San-ju-kon — uosobiona sprawiedliwość trzech pozostałych; Sio-fu-jun — zawsze szczęśliwy w przedsięwzięciach; Ko-fa-czen — zubożony przedsiębiorstwami prowadzonymi na wielką skalę; San-iczen — powstały dzięki honorowi trzech i t. p. W obec takich pojęć nic dziwnego, że tutaj pstrokacizna uważa się za piękno, a różne nalepione sztukaterye świadczą o wystawności gospodarza, który tym sposobem nie wiele różni się od rosyjskich kupców, pod względem zamiłowania do rzeźb i złocen, a także upiększania podłóg nawet jaskrawymi kwiatami i bukietami, jakie tylko przyjdą do głowy malarzowi, a których bynajmniej przyroda nie zna u siebie. Różnica ta zachodzi jedynie, że u Chińczyków istnieją alegoryczne zwierzęta, uswięcone przez ich religię i znane pojęciom krajowców, opartym na najgrubszym zabobonie. Dzięki temu Chińczycy znoszą cierpliwie wszystkie szyderstwa i namowy, trwając uporeczywie ciągle przy swoim.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dalszy ciąg powieści **Middlemarch**.

## OD WYDAWCY.

Pismo niniejsze wychodzić będzie w przyszłym kwartale pod dotychczasową redakcją i na tych samych warunkach.

Prenumerata w Warszawie wynosi: rocznie Rs. 7 kop. 20, półrocznie Rs. 3 kop. 60, kwartalnie Rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Na prowincyi: w Królestwie i Cesarstwie w Urzędach i Ekspedycjach pocztowych: rocznie Rs. 10 <sup>1)</sup>, półrocznie Rs. 5 <sup>2)</sup>, kwartalnie Rs. 2 kop. 50 <sup>3)</sup>.

Od 1 Lipca wychodzą przy *Bluszczu* prócz zwykłego Dodatku obejmującego Wzory ubiorów i robót: **Mody kolorowane**.

Prenumerata wydania z dotychczasowymi Dodatkami i *Modami kolorowanymi* wynosi w Warszawie: miesięcznie Rs. 1; kwartalnie Rs. 3; półrocznie Rs. 6; rocznie Rs. 12.

Na prowincyi: kwartalnie Rs. 4; półrocznie Rs. 8; Rocznie 16.

**Nadmienić mi wypada, że najlepiej będzie dla prenumeratorów na prowincyi zamieszkałych wprost od siebie do redakcyi nadsyłać pieniądze wraz z dokładnym i wyraźnym napisanym adresem. Prenumeratorów z Cesarstwa upraszamy również, by żądania swoje raczyli adresować nie do Ekspedycyi Gazet, lecz do Redakcyi Bluszczu w Warszawie Nr. 411.**

Wczesne wyprawienie pierwszych, regularne dosyłanie dalszych numerów *Bluszczu*, zależy głównie od zastosowania się, pod względem przesłania prenumeraty, do powyższego ogłoszenia.

Michał Glücksberg, Wydawca.

<sup>1)</sup> Licząc w to za pismo Rs. 7 kop. 20, opłata pocztie za przesyłkę Rs. 1 kop. 20, za przepaskę i ekspedycję Rs. 1 kop. 60, <sup>2)</sup> Za pismo Rs. 3 kop. 60, opłata pocztie kop. 60, za ekspedycję kop. 80. <sup>3)</sup> Za pismo Rs. 1 kop. 80, opłata pocztie kop. 30, za ekspedycję kop. 40.

**TREŚĆ: Osobiste wspomnienie z życia Maryi Somerville, (dalszy ciąg). — Niewiasta polska, (dalszy ciąg), przez K. Wł. Wójcickiego. — Sofonisba, tragedia, (dalszy ciąg), przekład Józefa Grajnera. — Historia o Janaszu Korczaku i o pięknej miecznikównie, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Listy z zagranicy, przez J. I. Kraszewskiego. — Na wschodzie, (dalszy ciąg), przez S. Maksimowa.**